

Maciej Wąs: C.S. Lewis i Inklingowie, czyli o głupstwach i mądrości pióra

Z jednej strony Inklingowie byli, mówiąc wprost, czystą głupotą; dorośli mężczyźni, spotykający się na piwie i paleniu, dogryzający sobie dla dobrej zabawy i czytający powiastki z mchu i paproci: to nie jest do końca ładny obrazek. A jednak, jak powiedziałem, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest w tym i coś więcej, co być może tym bardziej wymyka się nam, im straszniej jesteśmy głupi – pisze Maciej Wąs w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „C.S. Lewis i świat (nie)stworzony”.

„Opowiem wam historię inną, ciekawszą...”; tymi słowami rozpoczyna Witold Gombrowicz (oczywiście Gombrowicz mistyczny) narrację swojego *Kosmosu*. I cokolwiek by o samym Gombrowiczu mówić czy nie mówić, trudno zaprzeczyć, że jednak coś uchwycił – bo historie istotnie to mają do siebie, że są ciekawe, nawet jeżeli nic z nich nie rozumiemy, co jest prawdą w znacznej większości wypadków (nie bez przyczyny i nie z rzekomej ciemnoty „wieków ciemnych” przestrzegają nas mistrzowie Szkoły, że rozumienie historii ma tylko Bóg – i prorok). Historia C.S. Lewisa i tzw. Inklingów zalicza się właśnie, dla mnie przynajmniej, do tej kategorii; fascynuje, choć trudno powiedzieć dlaczego. Tym bardziej może jednak ze względu na to właśnie (i istotnie, możliwe, że to jest jakiś ukłon w kierunku post-strukturalistów) warto ją opowiedzieć – i przynajmniej spróbować zrozumieć to, co niesie.

Wszystko zaczęło się na początku lat 30., pod koniec wielkiego kryzysu; może trochę wcześniej. Właściwie od studenckiego klubu dyskusyjnego, którego obrady zdecydowali się zaszczycać swą hieratyczną obecnością dwaj znamienici wykładowcy Uniwersytetu Oksfordzkiego: J.R.R. Tolkien i C.S. Lewis. Gdy czołowi studenci ukończyli kursy i poszli swoją drogą, klub się zwinął, Tolkienowi i Lewisowi wszakże (bo w wykładowcy zawsze zostaje przecież coś ze studenta) pomysł i formuła całej sprawy ewidentnie się spodobały, bo postanowili podtrzymać obyczaj i spotykali się we własnym zakresie. Z czasem, dołączali do nich coraz to nowi przyjaciele i znajomi, aż w końcu grupa rozrosła się do rozmiarów dziewiętnastu osób, a w skład jej weszli także ludzie tacy jak choćby Charles Williams, prezes wydawnictwa uniwersyteckiego i znakomity anglista, Victor „Hugo” Dyson, kolejny wykładowca, specjalista w dziedzinie literatury romantycznej i neoklasycystycznej (który odegrał zresztą niebagatelną rolę w procesie konwersji Lewisa na chrześcijaństwo), Owen Barfield, naukowiec i powieściopisarz, czy wreszcie Warren Lewis, brat Clive’a, obdarzony lekkim piórem historyk, którego notatki – nawiasem – stanowią obecnie główne źródło naszej wiedzy o historii grupy.

Panowie spotykali się zazwyczaj dwa razy w tygodniu – we wtorki (po męsku) w pubie „The Eagle and Child” (do dziś zresztą wisi w odnośnym przybytku radości tablica pamiątkowa nad miejscem, gdzie zwykli siadywać), a w czwartki w mieszkaniu Lewisa. Grupa, choć zawsze ściśle nieformalna (jeżeli można tak powiedzieć), nazwała się „Inklingami”, czyli, według wyjaśnienia Lewisa, tymi, którzy *dabble in ink* (babrzą się atramentem).

*Męskie relacje Anglii
edwardiańskiej, zahartowane
w ogniu niezwykle twardego
systemu oświaty, surowej
dyscypliny społecznej i
pozbawionej sentymentów
rywalizacji to nie był świat dla
słabeuszy*

Istotę spotkań
stanowiły, rzecz
jasna, uczone
dyskusje na temat
literatury i filozofii, a
także publiczne
odczyty powstałych
dopiero lub właśnie
powstających prac,
czy to lżejszych czy
cięższych, których
tworzeniu

towarzystwo akurat się oddawało, po których to następował moment debaty i konstruktywnej krytyki. Szczególnie w wypadku drugiej z tych aktywności, Lewis po prostu brylował. Ze wspomnień Tolkiena wiemy, że jego przyjaciel miał nieprawdopodobne ucho i pamięć językową, i był w stanie cytować słowo w słowo nawet te teksty, które słyszał dwadzieścia lat temu. Oczywiście – „brylował” należy tutaj odpowiednio rozumieć. „Nie byliśmy”, pisze Warren Lewis, „bynajmniej towarzystwem wzajemnej adoracji”. Istotnie, każdy, kto zna choć trochę kontekst historyczny w lot łapie, że jeżeli jakimkolwiek, to raczej wzajemnej dewastacji. Męskie relacje Anglii edwardiańskiej, zahartowane w ogniu niezwykle twardego systemu oświaty, surowej dyscypliny społecznej i naprawdę pozbawionej sentymentów rywalizacji (oczywiście dla dobra Imperium) to nie był świat dla słabeuszy. Dość powiedzieć, że gdy pewnego dnia Tolkien zaczął czytać na głos świeżo napisany fragment *Władcy pierścieni*, Lewis jęknął żałośnie z kąta: „Kurwa mać, tylko nie znowu te elfy!” Jak można się domyślać, kompani nie pozostawali dłużni.

Choć tematyka pozostawała rzeczą dowolną (Lewis czytał i walczył o np. swój *Problem cierpienia*), autorzy zdawali się skupiać przede wszystkim na fantastyce; i ciekawe, że to właśnie w takiej kuźni wykuwały się dzieła takie jak właśnie *Władca...*, czy wcześniej *Silmarillion*, *Trylogia międzyplanetarna* Lewisa, czy *All Hollow's Eve* Williamsa, przedziwny „thriller niesamowity”, w Polsce prawie nieznan, do którego przedmowę napisał jednak nie kto inny, jak sam T.S. Eliot.

Spotkania trwały przez całą II wojnę światową i jeszcze kilka lat po jej zakończeniu. 27 października 1949 Warren Lewis zanotował, jakże symbolicznie: „*No Inklings tonight. Obiad zjem sam*”. Opowieść dobiegła końca.

Czym zatem, zapytajmy, była – tak naprawdę – grupa Inklingów? Co stanowi tutaj, by tak rzec, „podszewkę rzeczywistości”? Nie wiem, możliwe, że to kwestia osobistych emocji człowieka niespełnionego, niemniej mnie to wszystko autentycznie porywa i ni to weseli, ni smuci, jak dobra poezja. Zakładam więc – w świetle powyższego – że coś w tym musi być (choć mylić się rzecz ludzka). Z jednej strony zatem, Inklingowie byli, mówiąc wprost, czystą głupotą; dorośli mężczyźni, spotykający się na piwie i paleniu, dogryzający sobie dla dobrej zabawy i czytający, no cóż – w głównej mierze powiastki z mchu i paproci, które już nie raz przecież oskarżano o „eskapizm”: to nie jest do końca ładny obrazek. I strach pomyśleć (bo i trudno w ogóle myśleć o sprawie bez strachu), co zrobiłaby z nim tak zwana „krytyka feministyczna”. A jednak, jak powiedziałem, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest w tym i coś więcej, co być może tym bardziej wymyka się nam, im straszniej jesteśmy głupi.

Joseph Pieper zauważył, że jednym z najbardziej tragicznych błędów świata współczesnego jest pokantowskie utożsamienie twórczości intelektualnej z wysiłkiem

Joseph Pieper, wybitny tomista niemiecki, w swej rozprawie *Musse und Kult* z 1948 roku zauważa, że jednym z najbardziej tragicznych błędów świata współczesnego jest

pokantowskie utożsamienie twórczości intelektualnej z wysiłkiem. Wtedy dopiero człowiek myśli, jak się przy tym napoci; jak omal nie zwariuje z dylematów i nie wyłysieje nad książką – o, wtedy można powiedzieć o nim: „Oto myśliciel!” Jeżeli coś takiego nie znajdzie, cała sprawa bierze w łeb – i nie ma co zajmować się szarlatanem, który udaje, że odkrył coś wyjątkowego, a tak naprawdę robi sobie żarty. Nauka, szczególnie wyższa, utożsamiona zostaje z ustawiczną gorączką pośpiesznej lektury, bezustannym wygłaszaniem odczytów, organizacją przeróżnych „eventów” i – ostatecznie – stymulowaniem „zmiany społecznej”: bo jak inaczej pokazać, że się pracuje, niż zmieniając (szczególnie społecznie)?

Nie zawsze tak było. Gdy św. Tomasz z Akwinu pisze, w swym *Komentarzu do Sentencji*, o mądrości i kontemplacji, osnuwa wywód wokół cytatu z Księgi Przysłów: „Z Nim byłam wszystko urządzając, i rozkoszowałam się na każdy dzień, igrając przed nim w każdy czas, igrając po okręgu ziemi” (przekład Wujka). Źródło mądrości jawi się tutaj jako inne, radosne, niemal beztrudne; jak taniec, najbardziej niegodna filozofa rzecz na ziemi. Prawdziwa kontemplacja prawdy płynie z miłości, więc nie może być trudna. Nie oznacza to, rzecz jasna,

że wysiłek intelektualny i praca nie mają wartości; ale są tylko przygotowaniem dla prawdziwej unii, która wydarza się inaczej – jak chce; i stanowi wyzwolenie, a nie ciężar dla serca.

W losach Inklingów świeci, wydaje mi się, coś z tej wielkiej prawdy; i dość powiedzieć, że bez nich, i bez ich „głupoty”, prawdopodobnie nie byłoby C.S. Lewisa – i to nie tylko tego od Narnii czy Trylogii, Lewisa, powiedzmy sobie, średniego – ale i tego wielkiego Lewisa, Lewisa-filozofa od *Chrześcijaństwa po prostu* czy *Czterech miłości*, w których również da się usłyszeć wyraźnie echo tych spotkań – i tego życia. Oczywiście, pewności nie ma, straszno zaś trochę bawić się w proroka; mniemam wszakże, że wystarczy to wszystko, by przynajmniej postawić pytanie (a to już – będzie wybaczone).

Maciej Wąs